

Barbara Rejek

POCZEKALNIA W

tor 5

tor 6

Patronat medialny:

 **STACHURIADA.PL**



Barbara Rejek

Poczekalnia W

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2019

Barbara Rejek
„Poczekalnia W”

Copyright © by Barbara Rejek, 2019
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: Renata Grześkowiak
Projekt okładki: Robert Rumak
Korekta: Marianna Umerle, Angelika Oleszczuk
Skład epub, mobi, pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-448-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Część 1. Wrocławska poczekalnia

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Część 2. Peron –W

Rozdział 1

13 maja

Rozdział 2

Cóż to jest Prawda?

Rozdział 3

Na przełaj bez happy endu

Rozdział 4

Tramwaj zwany pożądaniem

Rozdział 5

Ślady na szynach

Rozdział 6

Przystanek Ostateczny

Rozdział 7

NOCNA PODRÓŻ PO SZYNACH

Część 1. Wrocławska poczekalnia

Rozdział 1

我爱你

Postanowiła, że dzisiaj rozpocznie z nim rozmowę. Już ponad miesiąc temu los skrzyżował ich drogi. Nie wie, od kiedy on zaczął wychodzić na poranne spacer z psem, ale ona, dokładnie trzydzieści dni temu, wraz z rozpoczęciem marca, postanowiła, że pora zmienić coś w swoim życiu. Po raz kolejny, jak to na wiosnę bywało. Nie, nigdy nie była sportsmenką i wszelki wysiłek fizyczny wywoływał u niej wykrzywiony grymas na twarzy. Natomiast bułgarskie pochodzenie determinowało jej wiosenne, coroczne postanowienie. „Szczęśliwa Baba Marta! Dużo zdrowia!” – życzyła sobie i znajomym w tym dniu. Zgodnie z tradycją bułgarską, obchodziła Martenicę, czyli Święto Wiosny. Oprócz kruczoczarnych oczu i włosów, pierwszomarcowe pozdrowienie świata i wykonywanie biało-czerwonej lalki z włóczki prawdopodobnie otrzymała w genach od ojca, którego nie miała okazji poznać osobiście i którego znała jedynie ze znikomych wspomnień matki. Była owocem letniej wyprawy rodzicielki do orientalnego wówczas dla Polski kraju, aczkolwiek mlekiem i miodem płynącego i oczywiście słońcem prażącego. Jej dziadkowie byli ludźmi z tak zwanej „sfery inteligentnej” w peerelowskim kraju i, jako przywilej im się należący, posiadali paszporty zezwalające na podróże do demoludów, czyli krajów bloku wschodniego. Nadano jej również bułgarskie imię, Jana, co brzmiało jednak nadzwyczaj staropolsko i swojsko

w połączeniu z nazwiskiem rodowym jej matki. Jana Urszula Kochanowska urodziła się 1 marca 1981 roku, tuż po słynnej zimie stulecia, jako zapowiedź cieplejszych i lepszych dni w życiu jej rodziny. Zapowiedź i koniec udręki, którą spowodowało jeszcze niecielesne pojawienie się Jany na tym świecie. Do dzisiaj jest jej wypominane, ile to upokorzeń i zawistnych spojrzeń sąsiadów darowano matce i dziadkom, gdy tylko ciąża „dziewicy” Magdaleny zaczęła być widoczna. Dziewczyna była wtedy na pierwszym roku polonistyki. Męża, czy nawet narzeczonego, nie miała, a brzuch pęczył z tygodnia na tydzień, stając się źródłem pośmiewiska i wstydu rodziny Kochanowskich. Z miłości do niej matka nigdy nie skończyła studiów, z miłości do niej została nic nieznaczącą recepcjonistką w osiedlowej przychodni zdrowia, i z miłości do niej nigdy nie wyszła już za mąż, bo któż zechciałby pojąć za żonę kobietę z dzieckiem z nazbyt śniadą cerą? Jana cieszyła się zatem przez ostatnie trzydzieści pięć lat nadmiarem pozytywnych i negatywnych uczuć swojej matki i niezmiennie tęskniła za tym, by choć raz w życiu móc ujrzeć swojego ojca. Jedyną namacalną rzeczą, jaka łączyła ją z nieznanym człowiekiem, była czarno-biała fotografia ze Złotych Piasków, którą pamiętnego lata wykonała jej matka oczarowana czernią oczu i głębią spojrzenia przystojnego Bułgara. I choć w dowodzie i innych dokumentach wpisane ma „ojciec nieznan”, dane jej jednak było się dowiedzieć, że ów młody mężczyzna ze zdjęcia jest jej ojcem (aczkolwiek on sam nie ma o tym najmniejszego pojęcia i nie jest wiadome, gdzie obecnie przebywa, co robi, myśli i czuje). Nie jest nawet wiadome, czy jeszcze żyje. Bardzo chciała dowiedzieć się o nim więcej, niż tylko tyle, że ma na imię Goran, jest obywatelem bułgarskim,

posiada nazwisko jej nieznane, w lipcu 1980 roku skończył lat trzydzieści; tegoż też miesiąca poznał i cielesnie zadowalał Madzię z Polski, która w rozkosznych uniesieniach nie zdołała się dowiedzieć niczego więcej na temat przystojnego kochanka. Podanie w akcie urodzenia Jany, że ojciec jest obcokrajowcem, mogłoby wywołać niepożądane i zbyt skomplikowane konsekwencje, zatem pozostawało tylko podawanie danych zgodnie z prawdą, to jest: ojciec mało znany, czyli jakby nieznany. Niejednokrotnie jednak marzyła, by jej ojcem okazał się znany bałkański artysta, którego twórczość pokochała. Odkąd sięgała pamięcią, chciała poznać albo przynajmniej zobaczyć, i rodzzonego ojca, i oczywiście Bregovicia. Nieposiadaniem wzorca męskiego w swoim życiu, gdyż dziadek umarł, gdy miała pięć lat, tłumaczyła swoje wszystkie nieudane relacje damsko-męskie i rozstania z mężczyznami. Wyprowadziła się od niego po dwóch latach bycia razem, i pomimo że myślała, iż będą ze sobą na dobre i złe – nie byli. Przyszła jesień ich związku. Ona spakowała rzeczy i zostawiła pierścionek zaręczynowy na stole, a obok kartkę z napisem: „Nie mogę...”. W październiku wynajęła mieszkanie na drugim końcu miasta, przy ulicy Ptasiej i tam przezimowała, zastanawiając się, co tak naprawdę miała na myśli, kiedy oznajmiła narzeczonemu swoją niemoc. Świat wydawał się towarzyszyć jej w tej bezsilności, na co wskazywały takie zdarzenia, jak choćby zamach terrorystyczny w Paryżu 13 listopada zeszłego roku. Boże Narodzenie i Sylwestra świętowała w piżamie, pozostałą część zimy prawie przespała i „przeczytała”. Wtulona w ciepły kocyk, z kubkiem gorącej herbaty, przemierzyła karty spadku pisarzy polskich i światowych. Wyjścia do bibliotek i księgarni były jej jedynymi

atrakcjami kulturalnymi w owym zamrożonym czasie. Zaprzestała również aktywności społecznej, by nie musieć nikomu tłumaczyć rzeczy, których sama nie rozumiała. Z początkiem lutego wiedziała już, że musi pojechać do Bułgarii. W jakiś magiczny sposób chciała odnaleźć ojca i zmusić go do wypowiedzenia słów: „Kocham Cię, córeczko!”, gdyż nigdy, przenigdy w życiu nie uwierzy w miłość żadnego mężczyzny, jeśli najpierw nie poczuje jej od tego, przez którego znalazła się na tym świecie. Z końcem miesiąca zaczęła tworzyć swoją coroczną listę postanowień, gdyż dla niej Nowy Rok miał zawsze miejsce wraz z dniem jej urodzin. Punkt pierwszy pozostawał od lat zawsze ten sam – poranne bieganie, przynajmniej trzy razy w tygodniu. Zazwyczaj udawało jej się go realizować przez miesiąc lub dwa. Pozostałe postanowienia, życzenia na kolejny udany rok starzenia się, czy raczej nabierania mądrości życiowej, zmieniały się. I tak, w tym oto ważnym dla niej roku – okrągłej rocznicy urodzin – postanowiła rozwiązać największy supeł swego bytu, to znaczy dotrzeć do kraju swojego ojca, spróbować czegokolwiek się o nim dowiedzieć i, jeśli to w jakikolwiek sposób możliwe, rozpocząć z nim znajomość. Tego lata czekała ją zatem podróż do Bułgarii. Następnym punktem na liście było, to już po powrocie z wakacyjnej misji, poznanie mężczyzny na całe życie. Jeśli do przyszłego marca nie zjawi się ten jedyny, który będzie potrafił otworzyć jej serce i przekonać w stu procentach, że życie przy jego boku jest jej przeznaczone, kończy z ułudą i zostaje starą panną. Przecież nie wszyscy muszą zakładać rodziny i nosić zaszczytne miano żony lub męża. Skoro do tej pory nie potrafiła wytrwać przy drugim człowieku płci przeciwnej dłużej niż dwa lata, może nie dla niej jest to honorowe dożywotnie powołanie. Może powinna zacząć

płodzić książki lub badania naukowe i pozostawić taki wiekuisty ślad na tej ziemi. Może? Ale w związku z tym, że i tego nie była pewna, dała sobie i przyszłemu mężowi jeszcze jedną szansę. Kolejnym życzeniem do spełnienia w tym roku było zapisanie się na kurs tańca brzucha. Tu odzywała się jej wschodnia krew, bo uwielbiała tańce orientalne i bałkańskie, ale jak do tej pory nigdy nie miała czasu i odwagi, by rozwinąć, chociaż w niewielkim stopniu, swoją pasję. Tańczyła często, ale tylko dla siebie samej, w czterech ścianach domu. Jak do tej pory nikt, oprócz niej, nie wiedział, że ruchy shimmy potrafiła wykonać nie gorzej niż niejedna tancerka z Bliskiego Wschodu. W tym chciała osiągnąć umiarkowaną doskonałość dla siebie samej. Ostatnim podarunkiem, jaki chciała ofiarować sobie z okazji trzydziestych piątych urodzin miała być kulinarna podróż dookoła świata. Postanowiła, że ostatniego dnia każdego miesiąca sama lub w towarzystwie rodziny albo przyjaciół wydawać będzie uczyty złożone z ugotowanych przez nią posiłków. W każdym miesiącu miały być dania z innego zakątka świata, podane – w miarę możliwości – na tle dekoracji i wystroju kuchni danego kraju. Ostatni dzień każdego miesiąca miał jej przypominać, że życie jest dobre, pachnące i piękne, tylko trzeba włożyć trochę wysiłku, by dopomóc sobie w osiągnięciu szczęścia.

I tak oto biegała już prawie cały miesiąc, a jutro wypadał koniec marca. Według jej planu miał być to dzień kuchni włoskiej, na dobry początek, bo specjały makaronowe chętnie gotowała i dobrze znała tajniki rzymskich kucharzy, jako że Włochy były miejscem, które odwiedziła bardzo często – był to jedyny kraj Europy Zachodniej, który kochała. Nigdy nie

ciągnęło jej do Paryża czy Londynu. Początkowo chciała spędzić sama jutrzejszy wieczór, ale przez te trzydzieści dni swoich porannych marszobiegów polubiła go i postanowiła zaprosić na swoje przyjęcie, a może chciała okazać odrobinę sąsiedzkiej życzliwości i ludzkiego zrozumienia. Była z tym trochę spóźniona, ale lepiej później niż w ogóle. Wiedziała, że w zeszłym roku nagle zmarła jego żona, wiedziała, że jego nastoletni syn okropnie przechodził okres żałoby, codziennie wieczorem wykrzykując pretensje do ojca i świata. Wiedziała, bo przecież blokowe ściany mają uszy, a im przyszło dzielić mieszkania na tym samym piętrze i przechodzić nowe, trudne rozdziały bytowania tuż koło siebie. Miał około czterdziestu pięciu lat, zawsze mówił „dzień dobry”, choć nigdy się nie uśmiechał, co w jego sytuacji było zrozumiałe, i wyrozumiale wysłuchiwał żalów syna każdego dnia, nigdy nie odpowiadał na nie krzykiem. Potem słuchali razem muzyki klasycznej, a ona wraz z nimi, za ścianą, wtulona w swój zimowy kocyk, zasypiała przy kojących dźwiękach Vivaldiego czy Bacha. Tak wraz z sąsiadem i jego synem przetrwała zimę, niby sama, ale ze świadomością, że ktoś obok też ma problemy i, chcąc nie chcąc, trzeba z nimi żyć.

Podbiegła blisko niego, niby przypadkiem. Zatrzymała się i uśmiechnęła.

– Dzień dobry – to on rozpoczął rozmowę.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – A nawet bardzo dobry, miło słyszeć ptaki przy naszej Ptasiej ulicy.

– Uroki wiosny, ptasia muzyka – powiedział i podszedł kilka kroków do przodu z psem, pokazując tym samym, że nie ma ochoty na poranne dłuższe gaworzenie.

– Przepraszam sąsiada, ale czy mogę o coś spytać? – trochę niepewnie zaczęła po chwili.

– Oczywiście, słucham?

– Zna się pan na zwierzętach?

– Hmm, to zależy jakich. A o co konkretnie chodzi? – z niemałym zdziwieniem w głosie zapytał mężczyzna.

– To znaczy, chciałabym sobie kupić jakieś zwierzątko domowe, może psa? – sama nie wierzyła, że zadawała te idiotyczno-infantylne pytania. – Mógłby pan mi coś poradzić, jaką rasę najlepiej trzymać w bloku?

– Mój pies to zwykły kundel, jak pani widzi, ale ukochany pupil mojej żony. Wzięliśmy go ze schroniska dziesięć lat temu. Staruszek już. Nie, nie znam się na rasach za bardzo. Myślę, że to nie tyle o rasę chodzi, ale o czas poświęcany zwierzęciu, by dobrze się z nami czuł, bez względu na to, czy przyjdzie mu bytować w mieście, czy na wsi. Chyba nie muszę pani tego mówić, że pies wymaga czasu, trzeba takie stworzenie na spacerki wziąć przynajmniej trzy razy dziennie. My na szczęście z Burym uwielbiamy pochodzić sobie po okolicy rano i wieczorem, porozmyślamy, świeżym powietrzem pooddychamy i ptaków posłuchamy. Polecam oczywiście, jeśli ma pani tylko czas – już mniej zażenowany, a nawet, jak się jej wydawało, z niewielkim uśmiechem, odpowiedział na jej dziecinne pytanie.

– Bury? Piękne imię. Proste, ale bardzo urocze. No tak, pies potrzebuje chyba kogoś z mniejszą liczbą obowiązków w pracy niż ja. Wie pan, tak tylko zaczęłam o tym myśleć, widując pana ostatnio na spacerach.

– Bogdan jestem, proszę mówić mi po imieniu, po sąsiedzku – zaproponował.

– Właśnie jakoś nie mieliśmy nigdy okazji dłużej porozmawiać, choć mieszkamy koło siebie, dlatego cieszę się, że przynajmniej dzisiaj, przez tę chwilę, nadrobiliśmy straty. – Podała mu rękę, zadowolona z dalszego przebiegu ich rozmowy.

– No, takie życie. Ale może uda nam się teraz częściej rozmawiać, jeśli będzie pani kontynuowała swoje codzienne bieganie. Podziwiam za zapał, tak przy okazji.

– No, no, żeby się nie okazał słomianym zapałem. Jak co roku zresztą. Ale mam zamiar utrzymywać ten stan rzeczy przynajmniej do lata – powiedziała rozbawiona.

– Jasne, wiosna dodaje energii. A jakby bieganie już się znudziło, to zachęcam do spacerów porannych. Zapraszam na wspólne słuchanie śpiewów skrzydlatych mieszkańców naszej ulicy. O szóstej nad ranem mają najwięcej do powiedzenia.

– Super, kto wie, może się dołączę, a teraz uciekam do domu pod prysznic i do pracy. Miłego dnia – powiedziała, rezygnując z planów zaproszenia Bogdana na swoją włoską ucztę.

– Nie, to nie jest dobry czas, ani dla niego, ani dla mnie. Niech nam pozostanie ptaków ćwierkanie i poranne bieganie. Dajmy czasowi czas na kojenie ran – powiedziała cicho do siebie, po wejściu do mieszkania.

Zegar wskazywał wczesną godzinę, szóstą trzydzieści.

– Ranny ptaszek z ulicy Ptasiej się ze mnie robi, ale czas goni. Prysznic, kawka, bułeczka i szkółeczka.

Jeszcze tylko trzy miesiące i wakacje! Jedyne plus tej mojej pracy nauczycielskiej. No, ale na razie byle wytrwać do majówki w szumie i hałasie. Dlaczego zostałam polonistką, a nie jak nalegała mama bibliotekarką? Dlaczego? „Urszulko, zapamiętaj, matka zawsze ma

rację!”. No, i chyba miała. Marzy mi się praca w ciszy i spokoju, ale nic to, nie narzekam, bo i tak dobrze, że nie skończyłam w podstawówce, tylko z kwiatem młodzieży polskiej w liceum. Jak powiada moja pani dyrektor – „W klasie cisza, rzecz podejrzana”. Kocham te młode dzieciaki, tylko czasem to takie męczące! – rozmyślała Jana pod strumieniami gorącej wody. – A tak przy okazji bibliotek, to dziś koniecznie muszę oddać wypożyczone książki z biblioteki dworcowej. Moje najukochańsze miejsce wrocławskie ostatnimi czasy, pomysł wspaniały, ale mogłaby to być biblioteka otwarta całą noc. Podróżni by miło spędzali czas, a ja nie musiałabym się spieszyć jak zazwyczaj i mogłabym tam posiedzieć i poczytać dłużej. Ale nie ma rzeczy perfekcyjnych na tym świecie. Zapamiętaj, kobieto: sobie i innym nigdy do końca nie dogodzisz. Tylko umiarkowany perfekcjonizm może nas uratować.

Po śniadaniu zaczęła przeglądać książkę kucharską *Magiczny świat kuchni włoskiej*, sporządzając przy tym listę zakupów. Dopiero co skończyły się święta wielkanocne, które spędziła z mamusią i babcią, zatem jej żołądek nie przetrawił jeszcze mazurków i paschy, których nie potrafiłaby sobie odmówić przenigdy w świecie. Babcia przekroczyła magiczną liczbę 80 na liczniku swoich ziemskich lat, ale dzięki Bogu Najwyższemu, jak powiadała, energią i żywotnością zawstydzić mogłaby niejednego nastolatka, a z pyszności swoich wypieków znana była w całej gminie, bo i dla samego prezydenta miasta ciasta i ciasteczka wypiekała. Ale to już była babci słodka tajemnica, o której nie opowiadała za dużo nikomu.

Co by tu upichcić na jutro? Coś zdrowego, lekkostrawnego. O, włoskie wino półwytrawne, koniecznie muszę je zdobyć na jutrzejszą kolację. Moi kochankowie z Italii. – Na chwilę przeniosła się

w słoneczny region Morza Śródziemnego; winogronowego smaku i zapachu win. Szczerze mówiąc, nie była wielką miłośniczką win, czy w ogóle alkoholu, ale uwielbiała nazwy winogronowych trunków z Toskanii czy Umbrii. Kiedy kupowała butelkę włoskiego wina, była to jakby mała ceremonia, randka z brunetem, który szeptał jej do ucha: „Ti amo!”. I te romantycznie brzmiące imiona jej wielbicieli: Barbaresco, Bardolino, D' Angelo, Falesco, Nebbiolo, Vatiano. Być może zauroczenie śródziemnomorską urodą było dziedziczne w jej rodzinie, a u niej przejawiało się w takiej właśnie postaci. To zafascynowanie zaczęło się od przypadkowego zakupu butelki czerwonego wytrawnego wina Fazzoletto i przeczytania opisu znaczenia jego nazwy. „Czerwona apaszka” była noszona przez włoskich bojowników ruchu oporu podczas II Wojny Światowej jako symbol wolności i buntu. Od tamtej pory niejednokrotnie miała ochotę na towarzystwo włoskiego wojownika. Zapraszany na obiad czy kolację amant przede wszystkim musiał kusić swoim „winnym” imieniem i nazwiskiem. Niektórzy z jej adoratorów, właśnie dzięki nadzwyczajnym emocjom, drganiom, i ciarkom pojawiającym się na jej skórze przy wypowiedaniu ich godności, gościli częściej w jej domu, jednak z większością z nich było to jednorazowe rendez-vous przeważnie kończące się dla niej silnym bólem głowy. Do tej pory spiła smak rozkoszy z niejednego z nich. Musiała przyznać, że nie była stała w uczuciach co do swoich butelkowych kochanków z Italii. Natomiast o włoskiej kuchni mogła rozmawiać godzinami, ze znajomymi, nieznajomymi i samą sobą. Uwielbiała Giadę de Laurentiis z telewizyjnego kanału Food Network, która stała się jej dobrą przyjaciółką i dzięki której nauczyła się nie tylko sztuki

gotowania, lecz także opanowała podstawy języka włoskiego.

Zmarnowałam całą zimę na spanie. Jak to możliwe, że nie ugotowałam żadnego dania od sześciu miesięcy i nie obejrzałam nawet jednego programu z Giadą? – zaczęła rozmowę ze sobą i kanapką z miodem. – Chyba dopadła mnie jakaś obrzydliwa depresja zimowa. Co było, nie wróci. Powiedziałam A, zdecydowałam, że nie chcę z nim być i oto ogarnęły mnie ogromne wyrzuty sumienia, że marnuję życie nie tylko własne, lecz także cudze. Bruno obraził się na mnie na amen, zatem nie odezwie się do mnie już nigdy w życiu. Zresztą, ja też pewnie tak bym się zachowała, gdyby narzeczony zostawił mnie miesiąc po oświadczeniach. Zostawiłam mu pierścioneł, nie ukradłam. Może go oddać do sklepu lub podarować innej kobiecie. A może mu też nie zależało za bardzo? – dalej prowadziła swoją rozmowę. – Dlaczego nie walczył o mnie? Dlaczego nie wydzwaniał, nie błagał, nie prosił, bym wróciła? Czy nie byłam dla niego ważna? Czy może jego męska duma wygrała z uczuciem do mnie? Chyba czas powiedzieć B?

Dopiła kawę i z przerażeniem zerwała się z krzesła, kiedy dostrzegła godzinę na zegarze.

Pomocy! Ja tu rozmyślam o czarnej przeszłości, a za chwilę wyleją mnie z pracy! Wtedy to i przyszłość nie będzie kolorowa. „Weź się w garść, Urszulo Kochanowska!”. Posłuchaj mamusi choć raz w życiu, a może wyjdiesz na ludzi przed czterdziestką. He, he, he. Jak byłam nastolatką, to myślałam, że trzydziestolatek to człowiek ułożony, dorobiony, szczęśliwy, bez usterek i rozterek. Pędzę do moich młodych gniewnych uczniów, bzdury im kłaść do głowy, że jak się będą uczyć, to świat przywita ich z otwartymi ramionami, by ofiarować najpilniejszym swoje dary losu w postaci wspaniałych żon, mężów, dzieci, dużych pieniędzy, wielkiej sławy, pięknych domów,

szybkich samochodów i samych życzliwych oraz dobrych ludzi wokół. A co tam, niech się cieszą, póki mogą, potem przyjdzie czas rozczarowań. Muszę przecież stosować jakieś chwytły motywacyjne w pracy pedagogicznej. Przecież nie kłamię, choć i prawdy do końca im nie mówię. Życie jest cholernie trudne, ale piękne.

– Dobra, szkoła, biblioteka i zakupy, improwizacja pełna. Obiad włoski też będzie improwizacją na dobry początek tego kulinarnego postanowienia. Zorganizuję się lepiej od kwietnia. Obiecuję – powiedziała, spoglądając w lustro ostatni raz przed wyjściem z domu.

Wrocławski dworzec powitał ją jak zwykle, bardzo przyjaźnie, już z daleka machając do niej transparentem z napisem „Wrocław Główny”. Uwielbiała to miejsce jako dziecko, ale przede wszystkim podziwiała je po jego renowacji. Staruszek dworzec przeżył swoje; jego historia była dla niej inspiracją i przykładem do przetrwania dobrych i złych momentów jestestwa. W zeszłym roku doczekał się umieszczenia go w kategorii Premium według klasyfikacji PKP. Inwestycja warta każdego wydanego talara w XIX wieku. Kiedy już myślała, że jej ukochany dworzec osiągnął pełnię ubóstwienia, do publicznej wiadomości podano, że z początkiem tego roku otworzona zostanie tutaj pierwsza w Polsce biblioteka na dworcu. I jak mogła nie kochać swojego wrocławskiego dworcowego przyjaciela? Szkoda tylko, że nie ma tu już kina dworcowego, do którego zaglądał Zbyszek. Ale jest jego duch na peronie trzecim, jej ulubionym. Bruno był jej pierwszym niezmotoryzowanym partnerem, razem dzielali pasję tramwajowo-pociągową. I to właśnie tutaj się poznali, na peronie trzecim wrocławskiego Dworca Głównego, przy tablicy

poświęconej aktorowi, w rocznicę jego skoku w nieskończoność. I jak mogła się nie zauroczyć chłopakiem, który wyglądał jak jej ukochany aktor, zachwycił się jego filmami i rozpoczął ich rozmowę od cytatu z *Do widzenia, do jutra*: „Wierz mi, to nieistnienie jest najpiękniejszą rzeczą, jaką mogę ci ofiarować”? Zakończyli ten dzień wypadem do Katowic, na grób aktora. Od jego pierwszego zdania była pewna, że Bruno jest tym na całe życie. I był, ale to życie trwało tylko dwa lata. Dlaczego ich wspólny czas się skończył? Nie lubiła jazdy samochodami, głównie dlatego, że jako dziecko miała koszmary, w których prawie co noc ginęła w wypadku samochodowym czy też motocyklowym. Nie rozumiała entuzjazmu swoich znajomych, którzy z wypiekami na twarzy rozmawiali o markach aut, ich możliwościach i cenach. Nikt, oprócz niego, nie uśmiechał się na myśl o podróży pojazdem Intercity Panorama albo regionalnymi pociągami Kolei Dolnośląskich czy Śląskich. Dlaczego to się skończyło? Dlaczego wysiadła na nieznanej stacji i powiedziała tylko: „Do widzenia!”, które najczęściej oznaczało: „Do nigdy!”. Dlaczego on pozwolił jej wysiąść, dlaczego nie uchwycił jej dłoni i nie puścił do chwili, gdy ich wspólny pociąg ruszył dalej? Przecież każdy ma chwile zwątpień... Czekwała na jego telefon w chłodne, jesienno-zimowe wieczory. Mogli zacząć wszystko od nowa. Nie zadzwonił. Czy ofiarował jej swoją nieobecność, by mogła odnaleźć siebie i w końcu zacząć żyć? Nie zadzwonił. Ofiarował jej swoją nieobecność.

Na kolację wybrała prosto przyrządzone spaghetti z sosem pomidorowym własnej produkcji z zeszłego lata. Jej makaron nie był *al dente*, bo takiego nie lubiła. Wolała włoski makaron w wersji polskiej, czyli dobrze ugotowany, ale podany z jej

sosem według przepisu rodowej Włoszki. Był niebiańskim daniem, uciechą dla oczu i uczą dla podniebienia. „Najważniejszy jest wybór pomidorów, musisz patrzeć na ich kolory. *Pomodoro è frutta di amore*, pomidor to owoc miłości, im czerwieńszy, tym więcej w nim uczucia”. Pamiętała o wskazówkach Giady przy letnim sporządzaniu przetworów na zimę. Swoje słoiczki z rewelacyjnym sosem pomidorowym, jak oceniali jej przyjaciele, często ofiarowywała jako prezenty urodzinowe czy gwiazdkowe. Zatem sosy z roślin przywiezionych na Półwysep Apeniński przez Krzysztofa Kolumba udomowiały się teraz na terenach południowo-zachodniej Polski. Z wybraniem dań na dzisiejszą samotną ucztę włoską nie miała problemu. Makarony kochała we wszelkim kształcie i każdej długości i oprócz tego, że przyrządzało się je szybko, chciała również ustawić swoje życie we właściwym kierunku. Wiedziała bowiem, że słowo makaron wywodzi się od greckiego słowa *makar*, co oznaczało „szczęśliwy” i wiedziała również, że dostarczanie organizmowi dużej ilości węglowodanów zawartych w makaronach podnosi poziom endorfin, czyli hormonów szczęścia. A ona zamierzała być szczęśliwa przez dalszą część swego życia. Wybór deseru i specjalnego trunku po *primo piatto* także miał uzasadnienie. Tiramisu przygotowała wczoraj wieczorem, bo cały jego kawowy aromat nabierał mocy dopiero po „upojnej” nocy. Nazwa deseru oznaczała „poderwij mnie”, co chciała wykrzyczeć w tym roku światu i mężczyźnie swego życia, który przecież miał w najbliższych miesiącach rozłożyć się u jej stop (jeśli taka była wola niebios), i z którym już do końca swojego żywota by się rozkoszowała; najpierw kieliszkiem wina z apenińskich winogron, wprowadzającym ich w taniec nocnego miłosnego

uniesienia, a potem filiżanką mocnego, czarnego, kofeinowego daru bogów – espresso, zrobionego we włoskiej kawiarni, ich ślubnym подарunkiem od przyjaciół. Jedynie Bóg wiedział, czy tak właśnie miała wyglądać jej przyszłość, bo dziś wieczorem samotnie zanurzała się, po raz pierwszy od pół roku, w ramionach włoskiego, szlachetnego kochanka, Barone Montalto, i równie samotnie miała przywitać jutrzejszy wschód słońca. Chociaż, może powinna pomyśleć o tym inaczej? To, że obudzi się sama o świcie, może wcale nie oznaczało, że jest samotna? Może czas, by polubić własne towarzystwo i zacząć odkrywać uroki życia w pojedynkę?

– Wiele jest prawdy w chińskim przysłowiu, zgodnie z którym wino to odkrywca sekretów. Dodałabym, że najważniejszych prawd życiowych również – wyszeptała do nocnej lampki, oblizując z warg ostatnie krople czerwonego sycylijskiego barona.

Rozdział 2

我爱你

„Zdradzony przez ojca”, „Mój ojciec mnie boli”, „Układanka bez ojca”. No tak, moje życie jest naznaczone klątwą – rozmyślała, przeglądając tytuły i fragmenty książek w dziale psychologicznym w swojej ulubionej bibliotece. – Na co ja liczę? Że nagle stanie się cud? Tatuś mistycznie poczuje, że czegoś mu w życiu brakuje, że ciągnie go do Polski za tą dziewczyną, którą poznał prawie czterdzieści lat temu, że zjawi się w życiu mojej matki,

i oczywiście moim, i powie: „Jesteście kobietami mojego życia! Zawsze o tym wiedziałem”? Stara baba jestem, a głupia i dziecinna. Moi uczniowie są bardziej dojrzałi ode mnie. Podoba mi się ostatnio to modne wśród młodzieży powiedzonko: „Biorę to na klatę”. Nawet stawianie jedynek nie boli aż tak bardzo, jak się widzi, że uczeń potrafi sobie z tym poradzić. A ja co? Po raz kolejny nie wzięłam problemu na klatę, poszłam sobie, zatrzasnęłam drzwi i kłopotek został u kogoś innego. Boże, co się z nim działo przez te pół roku? Nie mam pojęcia. Nie odbierałam telefonów od naszych wspólnych znajomych, usunęłam swoje konto na Facebooku, zamknęłam się w świecie rozpaczy i własnych rozczarowań. Tylko z jakiego powodu? Że byłam z fajnym facetem, któremu właściwie nie mogłam nic zarzucić? No, chyba tylko tyle, że był mężczyzną i, kto wie, może i on ma kilka córek i synów na świecie, o których nie ma pojęcia? I co, jeśli ta prawda wyszłaby na jaw po kilku latach naszego małżeństwa, kiedy on byłby już ojcem moich dzieci? Albo co, jeśli spłodziłby dzieci swoim kochankom, które z pewnością by miał?

– Co za głupoty! – powiedziała cicho sama do siebie, ale nie wiedziała, czy skomentowała fragment poradnika psychologicznego, który właśnie przeczytała, czy też własne myśli. – Ktoś tu definitywnie nie jest gotowy do zamążpójścia – z głębokim westchnieniem dokończyła swoją myśl. – Zatem jestem brzydkim kaczątkiem, które nie potrafi siebie pokochać, bo zostało odrzucone przez swoich rodziców? A już myślałam, że przerobiłam tę lekcję co najmniej dziesięć lat temu. Po co on mnie prosił o rękę? Po co ja się zgodziłam? Przecież mogliśmy trwać w stanie przedmałżeńskim do końca życia. Na co komu dzisiaj papiererek? Dżentelmen się znalazł: „Chyba najwyższa pora pomyśleć o dzieciach”. Tak pomyślałam, zbladłam i uciekłam. Niech idzie robić

dzieci innej kobiecie. Życzę szczęścia. Kto wie, może już za kilka miesięcy mój Bruno zostanie ojcem, ale nie moich dzieci. Ja „nie mogę...”. Ja muszę być pewna, że będę dobrym rodzicem, ja muszę być pewna, że chcę być rodzicem, a na razie to nawet nie jestem pewna, czy mogę mieć dzieci. Westchnęła znowu i przymknęła oczy, bo właśnie uświadomiła sobie, że bardziej niż z nieznanym ojcem, powinna się postarać budować relację ze swoją znajomą matką i że to właściwie ją obwinięła przez całe życie za nieodpowiedzialność. To do niej czuła skrytą, nigdy niewypowiedzianą, nienawiść. Czyżby to wrogość do matki niszczyła jej życie i relacje? Może to była dobra decyzja, że odeszła od niego? Potrzebowała dojrzeć, zamienić się w łabędzia dla siebie i innych, ale żeby jej piękno mogło emanować na innych, a zwłaszcza na jej zrodzone kiedyś własne dzieci, musiała przemienić się wewnętrznie, musiała wypięknąć, rozpocząć ten proces od samego środka, od swych uczuć i serca. Musiała oddzielić ziarna od plew.

Wypożyczyła stertę grubaśnych ksiąg z mądrościami, jak poradzić sobie z nieobecnością ojca, chociaż nie była już pewna, czy znajdzie w nich rozwiązanie łamigłówek swoich pokrętnych relacji damsko-męskich i panicznego strachu przed posiadaniem dzieci. Może powinna znaleźć dobrego psychologa, który wytłumaczyłby jej prosto i logicznie, o co chodzi, jak sobie z tym poradzić i jak żyć? A może powinna zapisać się na naukę tańca brzucha, jak sobie obiecała ponad miesiąc temu? Kontynuowała swoje poranne bieganie i musiała przyznać, że lepsza kondycja fizyczna dodawała jej energii do działań. Samo to, że w zeszłym tygodniu wyszła z koleżankami z pracy do kina świadczy o tym, że coś zaczęło się zmieniać w jej spojrzeniu na

kryzys osobowościowy, który przechodziła. Uznała, że siedząc na kanapie i nie rozmawiając z nikim, nigdy nie uzyska odpowiedzi na stawiane sobie pytania. Może inni zobaczą coś, czego ona nie zauważyła przez tyle lat, a może samo to, że jej wysłuchają, pomoże jej w jakiś sposób ułożyć pogmatwane myślenie, w którym tkwiła od października. Trwało to stanowczo za długo. Przecież rozstanie z kimś to nie koniec świata, chociaż w jej wieku mogłoby się wydawać inaczej. Ale wbrew powszechnej opinii publicznej, że właściwie ona to już stara panna, czuła się młodsza z każdym dniem, odkąd przekroczyła magiczną liczbę lat trzydziestu pięciu. Prawdopodobnie wpływ na to miał jej codzienny wysiłek fizyczny, a być może poranne kilkuminutowe rozmowy z sąsiadem o ptakach, psach, zakwitłych pąkach i kwiatach, które stały się częścią jej treningu. Przez ostatnie tygodnie z wielką ochotą wstawiała z łóżka o piątej trzydzieści, by zacząć swoje bieganie kwadrans wcześniej niż w poprzednim miesiącu. Ostatnie piętnaście minut jej porannego wyjścia stanowiło podziwianie natury przy ulicy Ptasiej w samotności, czy też z miłym znajomym.

– Poproszę bilet do Katowic na najbliższy pociąg z peronu trzeciego – skierowała swoją prośbę do raczej zdziwionej usłyszanej prośbą bileterki.

– Z peronu trzeciego?

– Tak, koniecznie z peronu trzeciego – odpowiedziała z lekkim uśmiechem na twarzy. Nie była tam, od kiedy rozstała się z Brunem, a po wyjściu z biblioteki naszła ją dziwna potrzeba. Dawno nie odbywała podróży pociągiem ze Zbyszkowego peronu. Ich wspólny peron i ich wspólne podróże na grób aktora, który ich połączył, a może i rozłączył? Może to pierwsze

zdanie wypowiedziane przez niego nie było przypadkowe, może jego nieistnienie w jej życiu było utkane przez nici przeznaczenia? Tego roku nie przysłała na peron trzeci, nawet w rocznicę śmierci Cybulskiego. Ciekawe, czy on tam był, czy czekał na nią? Nie wie, bo jego już nie było w jej życiu, on jej podarował swoje nieistnienie i rozmyślanie. Na peron wchodziła z drżeniem w sercu, ale i z odrobiną nadziei, że może on tam będzie i będą mogli pogadać, wyjaśnić to, co powinno być wyjaśnione. Co prawda, to ona odeszła, ale przecież jej początek zdania: „Nie mogę...” mógł mieć tysiące znaczeń. On nigdy nie zapytał, co miała na myśli. Potrzebowała tej rozmowy z nim, tak samo jak potrzebowała rozmowy ze swoim ojcem. Ale w tym momencie jej życia nie istniał w nim ani ojciec, ani mąż.

Nie, dzisiaj nie dam rady stanąć przy twojej tablicy, Zbysku! – rozpoczęła swoją rozmowę w myślach ze słynnym aktorem. – No, drogi kolego połączyłeś nas. Myśleliśmy, że na wieki, a tu, patrz, nie ma już nas razem. Dzisiaj zabrało nam wczoraj i jeszcze nie podarowało jutra. Ciebie też nie ma fizycznie wśród nas, a ciągle jesteś obecny. On we mnie też jeszcze trwa. A może już na zawsze? Skoro ktoś nas przeniknie, staje się częścią nas samych, jego sposób myślenia, chodzenia, jedzenia wnika w nas i tworzy nas? Pewnie tak. Ty też chciałeś być jak James Dean i do pociągu chciałeś skoczyć, jak on. I ja też mam ochotę teraz na twój szybki skok w przyszłość, by zostawić to, co za mną. Byle jak najszybciej wysiąść na kolejnym przystanku, ale wiem, że tak nie można, bo za szybkie skoki oznaczają naszą katastrofę.

Z drżeniem w sercu i na ciele wchodziła schodami na peron numer trzy wrocławskiego dworca, gdzie przed laty Zbigniew

Cybulski postawił swój ostatni krok do jutra i do nigdy.

Nie, nie dzisiaj, jeszcze nie czas na podróż do Katowic. Na dziś już wystarczy mi wrażeń. Małymi kroczkami muszę iść w stronę wieczności, bo inaczej spadnę w przepaść, wprost do gotującego, szatańskiego gara. „Nie możesz zatrzymać żadnego dnia, ale możesz go nie stracić”, jak mówi chińskie przysłowie.

Tamtego dnia nie weszła na peron trzeci, nie była jeszcze gotowa na podróż do przyszłości. W połowie miesiąca wróciła do listy swoich „noworocznych” postanowień. Ku jej zdziwieniu, wciąż biegała, biegała pięć razy w tygodniu, od poniedziałku do piątku, bez marudzenia, a wręcz z odrobiną radości. Była pewna, że wpływ na to miała jej powierzchowna znajomość z sąsiadem zza ściany.

Może powinnam go zaprosić na swoją kolację w ostatnim dniu kwietnia? Może już czas, by pogłębić nasze sąsiedzkie stosunki? – Uśmiechnęła się do siebie. Nie, nie ogarniała jej fala podniecenia na myśl o nim, jak to bywa, gdy pani spotyka pana. W nim wyczuła bratnią duszę, kogoś, dla kogo, podobnie jak dla niej, zakończył się pewien etap w życiu i musi nauczyć się żyć od nowa, iść małymi krokami do przodu.

Zobaczmy, jak potoczą się nasze drogi pod koniec miesiąca, ale i tak chyba powinnam zdecydować, do jakiej kuchni świata chciałabym się wybrać? I, jak widać, jestem w doskonałej formie psychicznej i fizycznej. No, może nie doskonałej, ale dobrej, a to już bardzo dobrze. Dwa punkty życzeń z listy w toku spełniania. Super. Co tam jeszcze sobie wymyśliłam w tym roku? Podróż do Bułgarii, znalezienie drugiej połówki i zapisanie się na taniec brzucha. To z drugą połówką zostawmy na później, ale o Bułgarii i tańcu mogę zacząć myśleć. Ba, nawet muszę, bo w maju ceny podróży

zagranicznych będą nieziemsko wysokie i wyjdą nici z podróży i planów znalezienia tatuśka. Czyli co? Zabieram się za szukanie ofert biur podróży w ten weekend. Tylko pamiętaj, kobieto, że nie jedziesz na wczasy, tylko na misję specjalną, byś nie skończyła jak swoją mamcia, z niechcianym bachorem na całe życie – westchnęła, bo znowu jej myśli powędrowały w stronę jej rodzicielki.

– Oj mamó, chyba musimy odbyć długą, nieodbytą nigdy, rozmowę! – powiedziała do siebie. – Zresztą, i tak potrzebuję niezbędnych informacji w celu odnalezienia śladów jestestwa mego płodziciela. Muszę cię zaprosić na przesłuchanie, droga matko, według mądrości chińskiej: „Kto pyta, jest głupcem przez pięć minut. Kto nie pyta wcale, pozostaje głupcem przez całe życie”.

– Witam panią – powiedział, jak codziennie przy ich porannym spotkaniu.

– Witam sąsiada – odpowiedziała.

Takie poranne powitanie stawało się pomału ich rytuałem. Bardzo lubiła to, że zawsze zwracał się do niej na „pani”, choć znali już swoje imiona. W dzisiejszych czasach bywało to rzadkością, a forma ta pozwalała na zachowanie odpowiedniego dystansu do siebie, z odrobiną czułości i sympatii. I takiego związku damsko-męskiego potrzebowała na daną chwilę. Może on tego też potrzebował, gdyż zauważyła, że do swojego pozdrowienia zaczął dodawać uśmiech i czuła, że codziennie czekał na nią. Być może było to jedynie jej subiektywne postrzeganie rzeczywistości, ponieważ człowiek patrzy na świat przez pryzmat własnych doświadczeń, nawet gdyby bardzo się starał uciec od tego schematu. Jedno było pewne: on

wywoływał uśmiech na jej twarzy każdego wschodu słońca.

– Czekałem na panią dzisiaj – nie zaskoczył jej swoim zdaniem.

– O, miło mi bardzo – odpowiedziała niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na to oczywiste, ale niewypowiedziane dotąd wyznanie sąsiada. Już miała przyznać, że ona również z niecierpliwością wyczekuje ich wczesnoporannych spotkań, gdy on zapytał szeptem:

– Słyszysz pani? To pierwszy słowik tej wiosny. To najpiękniejszy ptasi świegot przy tej ulicy. Zawsze oczekiwaliśmy z żoną na ten dźwięk... – urwał zdanie. Przymknął na chwilę oczy, przełknął ślinę i dopiero wtedy powiedział, łamiącym się głosem: – To pierwsza wiosna, kiedy nie witam śpiewu słowika wraz z moją małżonką. Umarła w maju zeszłego roku, po walce z chorobą nowotworową.

Przez dłuższy czas żadne z nich nie potrafiło wypowiedzieć ani słowa. Czy miała powiedzieć, że jest jej przykro? Przykro to może być komuś, kto nie dostał wymarzonego prezentu gwiazdkowego. Cóż należy powiedzieć w takiej sytuacji, gdy ktoś wyznaje ci, że umarła najbliższa mu osoba, że musi przez życie kroczyć bez niej? Cóż znaczyły jej problemy w porównaniu z tym, przez co on przechodził? Przecież ona mogła jeszcze powrócić do Bruna, znaleźć kogoś innego lub po prostu spędzić życie w samotności, ale nie musiała żyć ze świadomością, że już nigdy, przenigdy nie zobaczy tego, kogo kochała. Westchnęła i wymamrotała niepewnie:

– Jeśli kogoś kochamy, na zawsze pozostaje on w naszym sercu. Jestem pewna, że pana żona słucha śpiewu słowika. Choć nie może być tu cieleśnie, z pewnością jej duch jest teraz tutaj.

– Nie była pewna, czy nie palnęła głupstwa, mówiąc górnolotne rzeczy, których sama do końca nie była pewna. Może jednak czasami najlepszą odpowiedzią jest cisza?

On pokiwał tylko głową. I dodał:

– Proszę posłuchać ze mną tego cudownego śpiewu. Będę pani bardzo wdzięczny.

– Z największą przyjemnością. – Powiedziała z nieukrywaną radością w głosie i pomyślała, że słuchanie śpiewu ptaków z pewnością spodobałoby się jej mamie.

Albo ty się starzejesz, matko, albo ja, że zaczynam myśleć o tym, co ty lubisz? Jak nigdy przedtem. Robię się sentymentalna lub w końcu dorastam. Ty pewnie odejdiesz szybciej ode mnie z tego świata, a nie chciałabym zostać z poczuciem, że nie tylko nie znałam własnego ojca, lecz także nie zdążyłam poznać swojej matki. Od października widziałyśmy się tylko podczas świąt wielkanocnych. Oj, czas na spotkanie i pogadanie od serca, droga mamó! – rozmyślała, zasłuchana w słowicze pieśni przy ulicy Ptasiej.

Dziś kuchnia bułgarska. Zaprosiła na nią mamę i chciała mieć pretekst do rozpoczęcia rozmowy na drażliwy dla nich temat.

– No cóż tu tak pięknie pachnie, córko? – pochwaliła ją matka przy przywitaniu. – No, w końcu jesteś moim dzieckiem, to odziedziczyłaś coś dobrego w genach.

– Kto wie, może mam to po ojcu – jak zwykle zgryźliwe odpowiedziała matce, gdy ta zaczynała mówić tonem osoby wszechwiedzącej i wszystko potrafiącej.

– Co jak co, ale talent kulinarny z pewnością masz po mnie, gdyż i ja, i babcia gotujemy wyśmienicie. Chyba nie zaprzeczysz? Ale gadaj sobie, Urszulko, co tam chcesz, ja tam

swoje wiem.

– Jasne, mamó – odpowiedziała lakonicznie i wyszła do kuchni dokończyć przyprawianie szopskiej sałatki i smażenie kebabczety. Włączyła też płytę Bregovicia, by i muzyka pomogła im się przenieść w bałkańskie klimaty. Puściła swoją ulubioną płytę artysty, nagraną w duecie z Kayah. Połączenie bałkańskiego folkloru z nutą polskości.

– Serwuję dziś dania bułgarskie, taka rodzinna biesiada. Ty, ja i mój nieznajomy ojciec – rozpoczęła od razu rozmowę na temat, po przyniesieniu dań do stołu. – Zapraszam rodziców do stołu! – dodała trochę uszczypliwie.

– Jano Urszulo Kochanowska, coś czuję, że masz jakieś strapienie i potrzebujesz porady matki. Ale zjedzmy najpierw, bo umieram z głodu. Cały dzień w przychodni, człowiek nie ma już siły, młoda nie jestem, a tu użeraj się z każdym petentem. Nie ma nic gorszego niż człowiek chory. Normalnie, wiadomo, my, Polacy, narzekamy dużo, ale chory Polak to już makabra. Oj, jak ja wytrzymałam w tej pracy tyle lat, a jeszcze tyle czasu do emerytury. Pacjenci powiadają, że żeby chorować, trzeba mieć zdrowie, a ja ci powiem, córko, że do życia to w ogóle trzeba mieć zdrowie i cierpliwość, a już zawsze trzeba mieć nadzieję. Jak mówi nasz polski wieszcz, a nasz pradziad Jan z Czarnolasu: „Nie porzucaj nadzieje, jakoć się kolwiek dzieje: Bo nie już słońce ostatnie zachodzi, a po złej chwili piękny dzień przychodzi”.

– Tu się zgodzę z tobą w pełni, mamó, jak nigdy! – roześmiała się, choć właściwie nie pamiętała, żeby za często się śmiała w towarzystwie swojej matki.

– No, pyszności Urszulo, rewelacja. Prawie takie same, jak

jadałam w Bułgarii, i choć było to trzydzieści parę lat temu, wciąż mam w ustach smak tamtych potraw.

– To czas na deser, mamó, a potem chciałabym z tobą poważnie porozmawiać.

– Dobrze, dobrze, jeśli cokolwiek w tym życiu może być poważne.

Na deser podała specjał otomański, baklawę, którą zakupiła w Kuchniach Świata.

– Jadę latem do Bułgarii – oznajmiła, gdy już popijały herbatę.

– O, wykupiłaś wczasy? Po ile były?

– Nie, mamó, nie jadę na wczasy. Jadę na własną rękę, bez pośrednictwa biura.

– No, kto wie, może to cię wyniesie taniej, chociaż wątpię. Powinnaś poszukać ofert last minute. Ostatnio pacjent w poczekalni mówił, że udało mu się zakupić wycieczkę do Hiszpanii za połowę ceny, a oferta oczywiście all inclusive. Drinki, napoje, trzy posiłki... – ciągnęła wątek matka.

– Nie, mamó, ja nie zamierzam tam się wylegiwać na plaży i popijać drinków. Chcę jechać na własną rękę do Złotych Piasków i odnaleźć ojca.

– Urszulo! – wykrzyknęła pani Magda, wylewając na siebie herbatę.

– Tak, chcę odnaleźć ojca i błagam cię, powiedz mi coś więcej na temat waszej znajomości, co pomoże mi dotrzeć do informacji na jego temat.

– Urszulo, przepraszam, ale wiesz jak nie lubię tego tematu.

– Ale tu chodzi o mnie! – zaczęła krzyczeć, sama nie

spodziewając się takiego wybuchu emocji. – Zawsze tylko ty i ty, a nie przyszło ci nigdy do głowy, jak ja się czuję, że... Nie, twoja młodość cię nie usprawiedliwia! Dobrze, zaszłaś w ciążę jak byłaś młoda, ale przynajmniej było znaleźć mi zastępczego ojca. Wiesz, jak się czuje dziecko bez rodzica? Jak...

– Przepraszam, dziecko. Wiem, że cierpiełaś przez lata, ale mnie też nie było łatwo. I wiem, że to nie jest usprawiedliwienie, ale to były inne czasy. Nie można było podróżować z kraju do kraju, kiedy przyszła ci ochota. Ja byłam skazana na decyzję twoich dziadków. Przepraszam za ból, który ci zadałam, ale myślałam, że dam radę być dla ciebie i matką, i ojcem. A poza tym, żył wtedy jeszcze dziadek i wszystko wydawało się prostsze. Dziadek odszedł tak szybko. Nie wiem, czy ty go jeszcze pamiętasz, a ja zostałam z tobą i moją schorowaną matką. Wiesz, Urszulo, przepraszam, jeśli nie okazywałam ci nigdy zbyt wiele uczucia, ale ja cię naprawdę kocham od chwili, kiedy pojawiłaś się na tym świecie. Myślę, że twój ojciec też by cię pokochał od pierwszego wejrzenia. Wyglądasz zupełnie jak on, dlatego dałam ci bułgarskie imię, bo masz takie węglikowe oczy, jak on. Ale ja naprawdę nic o nim nie wiem i, masz rację, przez trzydzieści pięć lat nie zrobiłam nic, by czegookolwiek się o nim dowiedzieć. Dlaczego? Nie wiem, kochanie. Czasem dokonujemy złych wyborów, a potem przez całe życie ponosimy ich konsekwencje. Ale ty byłaś moim dobrym wyborem.

Uspokoila się. Czyżby jej matka ją właśnie przeprosiła? I czy jej matka powiedziała, że ją kocha? Poprzednio nigdy nie słyszała tych słów od niej. Nie dowiedziała się nic nowego o swoim ojcu, ale usłyszała to, co pragnęła od lat usłyszeć.

– Dziękuję ci, mamó, za ten wieczór i przepraszam za krzyki, trochę mnie poniosło – uścisnęła rodzicielkę.

– Ja tobie dziękuję, dziecko, jedzenie było przepyszne. Życzę powodzenia w twoich poszukiwaniach. Spróbuję podpytać babcię, może ona sobie coś przypomni z tamtych wakacji. „Po nitce do kłębka”, jak głosi znana polska fraza.

– Hmm... Ukochanie polskiej literatury z pewnością odziedziczyłam po tobie, droga pani. A, jeszcze jedno pytanie: Jesteś pewna, że moim ojcem nie jest Goran Bregović?

– No niestety. Jestem pewna, że to nie on, ale kto wie, może to jakaś twoja dalsza rodzina?

– Jeśli nie odnajdę mojego prawdziwego ojca, uczepię się tej wersji – z uśmiechem zakończyła spotkanie z matką.

Nie potrafiłam jej powiedzieć, że również ją kocham. Ale że ona to powiedziała? Może małymi kroczkami uda nam się zbudować pomost między nami, droga mamó? Może za jakiś czas także i ja będę potrafiła powiedzieć Tobie te najważniejsze w życiu słowa? Zobacz, już dziś nie myślę, że jesteś najgorszą matką na świecie, zapatrzoną w siebie, egoistyczną jędzą. To był cudowny wieczór, mamó! Małymi kroczkami do przodu.

Koniec Wersji Demonstracyjnej